

Rozdział XI

Księżniczka Twilight abdykuje!!!

Z potwierdzonych nam informacji, jakie dotarły z królewskiego dworu w stolicy, wynika jasno: Miłościwie nam panująca Jej Wysokość księżniczka Twilight Sparkle wczoraj, w godzinach wieczornych zrzekła się swego tytułu. Księżniczka Celestia w porozumieniu z Jej Wysokością Luną i Mi Amore Cadenzą zdecydowała się przyjąć tę, jakże przejmującą żalem, rezygnację. W ciągu najbliższych kilku godzin ma wygłosić specjalne orędzie. Do stolicy pospiesznie ściągają tłumy kucyków. Wszyscy niecierpliwie czekają na dalszy rozwój wydarzeń.

Canterlot Times

– Księżniczko Sparkle... – szeptała pokojówka, delikatnie dotykając Twilight. – Proszę wstać.

Twilight przekręciła się na drugi bok, zaraz jednak otworzyła oczy. Jej w pół śpiący umysł zdołał odczytać i zinterpretować kluczowe słowa pokojówki. Usiadła na łóżku usilnie walcząc z kontratakującym właśnie snem. Przetarła leniwie oczy.

– Wystarczy samo Twilight. Jakim powodem jest pobudka o tej porze?

– Przykro mi księżniczko, jednak nie otrzymałam takich informacji. Wiem tylko tyle, że wasza wysokość wraz z pozostałymi Elementami miała jak najszybciej zostać obudzona i odprowadzona na centralny plac.

Chyba nigdy się nie oduczą tego – pomyślała Twilight, postanowiła jednak pominąć tym razem ten temat. Zeszła z łóżka i próbując doprowadzić grzywę i ogon do ładu, skierowała się w stronę swych osobistych rzeczy. Pospiesznie zebrane, leżały w kącie pokoju. Nawet nie wiedziała, czy gwardziści wysłani z poleceniem dostarczenia potrzebnych rzeczy zdołali wszystko zgromadzić. Spike prawdopodobnie przebywał u Zecory. A wręczona żołnierzom lista nie należała do najmniejszych.

– Wasza Wysokość. Nie mamy na to czasu. Jej Wysokość księżniczka Luna, nalegała byście jak najszybciej zjawili się w wyznaczonym miejscu.

Twilight bez słowa odłożyła szczotkę i skierowała się w stronę drzwi.

– Co z moimi przyjaciółkami? – zapytała.

– Je też rozkazano nam obudzić. Wszystkie już wstały i udały się na plac. Waszą Wysokość postanowiłam obudzić jako ostatnią.

Pokojówka skończyła i podbiegła by otworzyć drzwi. Twilight skrzywiła się, widząc na co się zanosi.

– Naprawdę, nie musisz tego robić... zaczęła Twilight. Nie dane jej było jednak skończyć.

– Nie przystoi by Wasza Wysokość trudziła sobie kopytka, tak prozaicznymi sprawami jak otwieranie drzwi.

– Jak widzisz po mnie, nie jestem już alicornem. Nie jestem więc już księżniczką.

Służąca uśmiechnęła się tylko. Doskonale pamiętała straszną kłótnię poprzedzającą tą niemądrą decyzję. I po raz pierwszy w swym życiu widziała Panią Dnia wyprowadzoną z równowagi w tak dużym stopniu. Większość zamkowej służby popierała w duchu decyzję Twilight. Oprócz niej. Dla Velvet, Twilight postąpiła nierozważnie i głupio. Dlatego też, jako jedna z nielicznych, nie przestała tytułować jednorożca. A już kompletną dla niej głupotą było pozbycie się przez lawendowego kucyka skrzydeł. Będąca pegazem służąca nie mogła pojąć, jakim sposobem można było odrzucić tak wspaniały dar, jakim niewątpliwie były skrzydła – ukucykowanie samej wolności.

Twilight szybko wróciła do dawnych relacji z księżniczką Celestią. Znow mogła być jej uczennicą, znow mogła wysyłać listy. Wszystko wróciło do normy, znanej z czasów zanim została, prawdę mówiąc, bez pytania o jakąkolwiek zgodę, zamieniona w alicorna. Wszyscy zdawali się zapomnieć o księżniczce Twilight Sparkle. Lawendowy jednorożec ponownie czuł się szczęśliwy mogąc spędzać czas w cichym Ponyville. Nigdy jednak nie zastanawiała się, czy Celestia czuje to samo. Księżniczka podczas jej wizyt uśmiechała się jak kiedyś. Razem rozmawiały jak dawniej – jak księżniczka ze swą podopieczną. Twilight czuła jak z jej grzbietu znikł wielki ciężar. Zaślepiona radością, nawet nie pomyślała, kto teraz dźwiga to, co ona dźwigać powinna.

A mieszkańcy Equestrii? Szybko o wszystkim zapomnieli. Zresztą nawet, gdy Twilight była jeszcze księżniczką, mało kto zwracał na to uwagę.

Oba kucyki wyszły na zamkowy korytarz i skierowały się na centralny plac. W milczeniu pokonywały kolejne drzwi. Za każdym razem to Velvet wybiegała do przodu by je otworzyć i przepuścić Twilight. Dopiero przy ostatnich, prowadzących na plac, służąca pokłoniła się Twilight i odeszła. Lawendowa jednorożec już miała, z wyraźnym zadowoleniem, własnokopytnie je otworzyć, gdy ubiegli ją w tym stojący gwardziści. Twilight westchnęła cicho i z ukrywaną irytacją wyszła na zewnątrz.

– Twilight! – krzyknęła Pinkie Pie – nareszcie jesteście! Już się bałam, że nie zdążysz. Tak bardzo wszyscy się spieszyli. Najpierw myślałam, że to Podmieńcy najechali nasze Ponyville i zabiły wszystkich mieszkańców, a nawet księżniczkę Cadenzę, która wpadła do ciebie z wizytą – różowy kucyk nakręcał się coraz bardziej, wprawiając wszystkich w osłupienie – ale nie mogły by tego zrobić, gdyż powinien mnie wtedy boleć grzbiet, swędzieć lewe przednie kopyto, szczypać oczy i burczeć w brzuszku. A brzusek mam w idealnym stanie! – Krzyknęła na koniec, i ku zdziwieniu zebranych kontynuowała monolog.

– To pewnie impreza. A ja kocham imprezy! A jak się dowiedziałam, że poleciała tam już księżniczka Celestia i Luna, to już na pewno będzie się tam działo – Pinkie wzięła głęboki oddech.

– Tak bardzo nie mogę się doczekać, dziewczyny, wsiadać i lecieć! – wystrzeliła jednym tchem, jednocześnie efektownym saltem wskakując do rydwanu.

– Pinkie, skąd ten pomysł z Podmieńcami? – zapytała drżącym głosem Twilight.

– Od Fluttershy! – wykrzyczał różowy kucyk. – Słyszałam jakieś szmery z jej pokoju, więc poszłam zobaczyć co się dzieje. A kiedy tam doszłam i już miałam użyć swojego specjalnego dwukucykowego zestawu imprezowego, i wtedy Fluttershy otworzyła drzwi, i wtedy ja weszłam, i zobaczyłam smutną Fluttershy, i zapytałam dlaczego jest smutna, a wtedy Fluttershy mnie zapytała, co bym zrobiła, gdyby nasze Ponyville zostało spalone, i wtedy odpowiedziałam, żeby się nie martwiła, bo to niemożliwe. – Pinkie Pie wzięła głęboko oddech i kontynuowała swoją wypowiedź. – A wtedy ona mi odpowiedziała, że się boi tego. A ja na to, że nie może nic takiego się zdarzyć, bo mi nie burczy brzuszku, a w przypadku inwazji Podmieńców powinno, więc na pewno nic złego się nie stało. I wtedy nagle do pokoju wszedł gwardzista i kazał nam wyjść tutaj. Nawet nie chciał zjeść ciastka z mojego dwukucykowego zestawu. Wprawdzie było nas wtedy trzy kucyki, ale oddałam mu swoje, ale on i tak nie chciał i był bardzo nieuprzejmy nie chcąc zjeść ciastka! – Pinkie krzyknęła na koniec. Jeden z gwardzistów zaczerwienił się wyraźnie.

– Na co czekacie wszyscy? Wsiadać i lecieć! – Pinkie wyskoczyła ze swego rydwanu. Jako pierwsza dopadła Applejack. Gwardziści wytrzeszczyli oczy, gdy zobaczyli jak różowy kucyk podnosi pomarańczowego i wrzuca go do odległego o dobre 10 metrów rydwanu. Podobny los spotkał zaraz Rarity, Fluttershy i Rainbow Dash. Nim ktokolwiek jednak zdążył zareagować, Pinkie Pie dopadła do Twilight.

– Wasza Wysokość pozwoli, że pomogę. – W ciągu jednego mgnienia oka różowy kucyk zdążył się uklonić, złapać Twilight, przebiec na tylnych kopytach z szamoczącym się i wrzeszczącym kucykiem trzymanym na przednich, by ku zdumieniu zebranych postawić Twilight delikatnie w pojeździe, ponownie się uklonić, i wbiec do swojego rydwanu.

– Startujemy! – krzyknęła na koniec.

Gwardziści doszli do siebie dopiero po chwili. Różowy kuc był czymś, z czym nie potrafili sobie poradzić. Wreszcie, dowódca wydał rozkaz wzbicia się w powietrze. Sześć rydwanów błyskawicznie osiągnęło odpowiednią wysokość. Ku nieopisanej radości Pinkie Pie, oraz wśród pomruków niezadowolenia i gwałtownego pogorszenia samopoczucia u reszty pasażerek.

Dowódca milczał. Pozornie rutynowy i niczym nie wyróżniający się lot, jeszcze przed startem wystawił na próbę ich opanowanie i wyszkolenie. A Perfect Spin nienawidził takich sytuacji. Wszystko co robił musiało być perfekcyjne. W myślach już układał słowa prośby do Księżycowej Zmory o odpowiednie symulacje i treningi z uwzględnieniem tego różowego tornada. Dotychczas radził sobie doskonale, niejednokrotnie będąc osobiście chwalonym przez księżniczkę Lunę. Śmiałymi atakami rozbijał wrogie formacje, zdobywał fortyfikacje, niszczył szlaki zaopatrzeniowe. Bronił się do ostatniego kopyta. Niezależnie, czy wróg miał przewagę dwa, czy dziesięć na jednego, odpierał atak, lub wiązał armię przeciwnika póki nie wycięto ich co do ogona.

Teraz jednak nie potrafił poradzić sobie z jednym, nieuzbrojonym kucykiem. Pinkie była wszędzie. I wydawało się, że nikt, ani nic nie potrafi jej powstrzymać. Perfect postanowił obserwować to dziwne stworzenie w nadziei, że natrafi na coś, co pozwoliłoby mu, w choćby niewielkim stopniu, zapanować nad tym różowym horrorem. Podleciał bliżej rydwanu w którym leciała różowa klacz. I momentalnie zdębiał. Dwójka zaprzężonych gwardzistów miała na głowach imprezowe czapeczki. I ślady lukru na kopytach. Zbliżył się do rydwanu. Różowa zmora trzęsła się skulona w głębi pojazdu. Po jej skołtunionej grzywie nie było nawet śladu. Zamiast tego dojrzał długie, proste pasma włosów. To samo z ogonem. Zniżył nieco lot i wylądował obok niej. Pinkie Skierowała na niego swoje pełne przerażenia oczy.

– Obiekt przed nami! – usłyszał kapitan. – Kurs przechwytujący. Idzie prosto na nas.

Spin poderwał się do góry i skierował swój wzrok we wskazanym kierunku. Wyraźnie widział już kształt nadlatującego gościa.

Celestia okrążyła konwój. Przelatując obok Perfecta wydała krótkie polecenie.

– Za mną. Ciasna formacja. Broń w gotowości.

Kusze zniknęły z grzbietów znajdując się w kopytach. W krótkim czasie założono cięciwy i rozległ się charakterystyczny dźwięk blokady zamka spustowego. Ciągące rydwany pegazy zbiły się z ciaśniejszy szyk. Księżniczka leciała na przedzie prowadząc całą formację. Całość zamykał Perfect.

Celestia zniżyła gwałtownie lot. Lecieli teraz tuż nad koronami drzew. Perfect przyspieszył i zrównał się z księżniczką.

– Wasza Wysokość? – zapytał

– Wszystko wyjaśnię na miejscu – odpowiedziała Celestia. Nawet nie spojrzała na Perfecta.

Tyle mu wystarczyło. Nietypowe zachowanie księżniczki znaczyło tylko jedno. Coś poważnego stało się w Ponyville. Bardzo poważnego. Najpierw zielona flara, następnie obie władczynie w pośpiechu wyruszają na miejsce. A teraz jeszcze ta szóstka kucyków z których jedna kiedyś była księżniczką. Tylko że... my nie lecimy przecież do Ponyville. Nieznacznie, ale jednak zesliśmy z kursu.

– Czyżby... – nawet nie zauważył, że powiedział to na głos.

– Proszę sobie nie zaprzętać teraz tym głowy – usłyszał głos Celestii. – Wszystko wyjaśnię na miejscu. Mam nadzieję, że za mną nadążycie. Choć jeśli potrzeba, mogę nieco zwolnić.

– To... nie będzie konieczne Wasza Wysokość. Jesteśmy przygotowani do takich prędkości – odpowiedział Perfect. Skłamał. Obecna nie należała do zbyt komfortowych i pegazy ciągnące rydwany byłyby mocno zmęczone po dotarciu do Ponyville. A tutaj zapowiadało się, że mogą spędzić w powietrzu dłużej. Znał swój oddział i wiedział że wytrzymają, choćby mieli lecieć i dwa razy dalej. Tylko po wszystkim nie będą się kompletnie do niczego nadawać.

Znów to samo. Nie jesteśmy z jakiejś jebanej porcelany. To twoja armia do cholery! Nie żadna zgraja żrebaków z problemami emocjonalnymi w wielkich machinach z durnych komiksów. Księżycowa...

– Nie jestem Luną... – dobiegło do jego uszu.

Perfect potrząsnął głową. Czuł jak ogarnia go dziwne uczucie niepewności. Czyżby znów powiedział coś na głos?

– Proszę o wybaczenie Waszą Wysokość. Nie chciałem...

Celestia uśmiechnęła się.

– Za długo żyję i zbyt dobrze znam swoich gwardzistów, by nie wiedzieć jakie mają o mnie zdanie. Wiem, że wolicie towarzystwo mojej siostry. Wiem, jak ją nazywacie między sobą. I wiem, co naprawdę kryje się za tym. Żarówka – Perfect słysząc to z ust księżniczki omal nie stracił panowania nad lotem. – Chce was wypoczętych na miejscu. Gotowych do walki weteranów, a nie rzygających ze zmęczenia rekrutów. Niczego nie musicie mi też udowadniać. Mam nadzieję, że to jasne jak... żarówka – skończyła Celestia zostawiając osłupiałego Perfecta ze swymi myślami.

Żarówka, Księżycówka, Koszmar, Babuszka, Jasnopłota, Ciemnopłota, Kryształka. Nawet Twilight dostała swoje – Książniczka. Wszystkie miały wśród żołnierzy kilka przezwisk. I o ile w koszarach używanie ich było normalnością, to każdy pilnował, by żadna z zainteresowanych się o niczym nie dowiedziała. Gdzieś musieli popełnić błąd, lub najzwyczajniej nie docenić Celestii. Teraz jednak już zbyt późno. A może to Luna? W końcu odwiedza kucyki w ich snach. Perfect zadrżał na samo wspomnienie. To co opowiadali o Pani Nocy w koszarach zupełnie nie nadawało się do powtórzenia. Szacunek, szacunkiem, ale obrywało się jej za kompletnie wszystko. Szczególnie po manewrach.

Po każdej z bitwie, każdy z żołnierzy zmieniał się w eksperta z dziedziny taktyki, strategii i ogólnie pojętej sztuki wojennej. Tysiąc grzyw miało tysiąc odmiennych zdań. Wszystko przez to, że Luna... nakazała im myśleć. Było to jawne pogwałcenie tradycji wojskowej, w której żołnierz miał wykonywać rozkazy. I nic więcej. Nie pytać dlaczego, po co i jak. Tylko iść i zrobić. Mimo niemal natychmiast widocznych efektów na manewrach, gdy to "myśląca" armia wycinała tą "konwencjonalną" niemal co do kopyta używając niekiedy absurdalnych pomysłów, co starsi oficerowie nie byli co do tego przekonani. Do czasu, aż Luna zorganizowała im "Śpiący Miesiąc". Przez trzydzieści dni, pogrążeni we śnie gwardziści toczyli najbardziej krwawą kampanię, jaką kiedykolwiek stworzyła książniczka. I wszyscy oni byli przekonani, że to dzieje się naprawdę. Nawet kiedy śnili, sami śpiąc w ich snach odwiedzała ich Luna. A kampania? Przerażająco okrutna pacyfikacja ogromnych połaci Equestrii. Konflikt najgorszy z możliwych – wojna domowa. Luna wystąpiła otwarcie przeciw swej siostrze. Obie prześcigały się w okrucieństwie. Mordowały na potęgę, unicestwiały całe miasta. Wbijały na pale, wieszały, paliły na stosach. Klacze, ogiery, starców i źrebaki. Bez żadnego wyjątku, bez żadnej litości. I obie armie dowiodły swej lojalności. Mogli wyśmiewać jej kolejne posunięcia, czerpać sadystyczną radość z możliwości wytknięcia błędu, wręcz szydzić, ale każdy z nich skoczyłby za obiema Siostrami do samego piekła. Luna stworzyła prawdziwe potwory, zdolnych do samodzielnych działań pragmatycznych żołnierzy – sama książniczka była przerażona swoim dziełem. Choć po wszystkim nie ukrywała zadowolenia.

"Są jak nasze Legiony" miała powiedzieć. Słyszało to podobno kilku gwardzistów. Nie mieli żadnego pojęcia o co może chodzić. O tą starą legendę? Wolne żarty. Nie zmienia to faktu, że od tamtego czasu wszelki sprzeciw dla jej koncepcji zniknął.

– Jesteśmy już na miejscu, wylądуйте nieopodal tamtej stodoły. A raczej czegoś, co z niej zostało. Będę was obserwować z góry. Za chwilę powinna dołączyć do nas moja siostra. – Głos książniczki wyrwał go z zamyślenia.

Oddział zatoczył koło i upewniwszy się, że mają wolny teren, kolejno sadzali rydwany na ziemi. Applejack momentalnie wyskoczyła z rydwanu i popędziła w kierunku dymiących się zabudowań. Zebrane kucyki w milczeniu patrzyły jak podbiega do sporej wielkości kamienia i próbuje go przestawić. Perfect wydał rozkaz i drużyna gwardii podbiegła jej pomóc. Z trudem odsunęli kamień pod którym, w niedużym dole siedziały dwa kucyki. postawny, czerwony ogier

pomógł starszej klaczy wydostać się na powierzchnię, po czym sam wyszedł. Applejack uściskała babkę i brata. Już chciała zapytać, co się stało, gdy uprzedził ją Perfect.

– Jak się tu znaleźliście? – zapytał.

Babka Smith spojrzała na gwardzistę.

– A co to za farma bez tajnej kryjówki. Jak się tutaj osiedliłam, stwory z Everfree regularnie atakowały nasz dom. Zawsze chowaliśmy się w tym dole. Jest połączony z domem i stodołą. Ale nigdy nie paliły nam domów! – podniosła głos. – I Psy nigdy nas nie atakowały! Wręcz przeciwnie. Pięćdziesiąt trzy lata temu to one uratowały nam życia. I jeszcze te Podmieńce! Wstrętne kreatury!

Starowinka ucichła na chwilę. Patrzyła w stronę miasteczka. Kłęby dymu unoszące się z spalonych ruin były doskonale widoczne nad koronami drzew.

– Big Mac – rzekła z wyraźnym trudem. – Zaprowadź mnie na wzgórze z którego widać Ponyville.

Czerwony ogier położył sobie starowinkę na grzbiecie i zaczął iść. Perfect skinął kopytem i dołączyła do niego piątka gwardzistów.

Applejack ruszyła za nimi. Tuż przed nią wylądowała Luna z Celestią.

– Powierniczko Prawdy, chcę abyś tutaj została – powiedziała Pani Nocy. Applejack posłusznie została na miejscu.

Twilight niemal natychmiast podbiegła do Celestii.

– Witaj, księżniczko – pokłoniła się. – Co się dzieje. Obudzono nas tak nagle.

– Za chwilę wszystko wyjaśnię, księżniczko Twilight – odpowiedziała Celestia.

– Nie jestem już...

– Dość. – Celestia wyraźnie podniosła głos. – Nie mam czasu na twoje fanaberie. Sprawa jest poważniejsza niż się wydaje. – Róg Celestii zaświecił się. – Niniejszym wskrzeszam twoją pozycję księżniczki, Twilight. Czy tego chcesz, czy też nie.

Twilight uniosła się w powietrze. Zniknęła otoczona kulą światła. Błyszcząca sfera powoli opadła na ziemię. Błysnęło, gdy czar rozpadł się ukazując przemianę w alicorna Twilight.

– Ale... – Twilight próbowała odpowiedzieć.

– Przykro mi Twilight – przerwała jej Celestia. – Dobrze wiedziałas, że tak będzie. Ostrzegałam cię wtedy, pamiętasz?

– Tak, ale... – Twilight spuściła głowę. – To naprawdę coś poważnego, prawda?

Celestia podeszła do swej byłej uczennicy i objęła ją skrzydłem.

– Nawet nie wiesz jak bardzo – wyszeptała.

– Dziewczyny... – usłyszały głos Pinkie Pie.

Jakby na komendę, zebrane kucyki spojrzały na różową klacz. Ta przedstawiała iście żaloszny widok. Zapłakana, zasmarkana, ledwo stała na ubabranych w zawartości swego żołądka kopytach.

– Powierniczko Śmiechu, słucham – zaczęła Luna.

Pinkie niemal wybuchnęła płaczem. Ledwo się powstrzymała. Zdołała wydukać łamiącym się głosem.

– Burczy mi w brzuszku...

Jeszcze nigdy nie brzmiało to tak strasznie. Twilight zachwiała się, usiadła ciężko i najwyczałniej się rozplakała. Nieprzytomna Rarity osunęła się na ziemię. Rainbow Dash próbowała wzbić się w powietrze i polecieć ku miasteczku, ale została momentalnie powstrzymana przez Lunę. Chwilę miotła się w lewitacji w którą złapała ją księżniczka. Jedna Applejack jakoś się trzymała. Siostry w milczeniu obserwowały całą scenę. Mimo iż wiedziały o istnieniu Zmysłu Pinkie, to dopiero pierwszy raz się z nim zetknęły. Na dodatek, w całym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi, że wśród nich brakuje jednego kucyka...

Zniszczenie naszego ukochanego miasteczka odbiło się na nas wszystkich. My na szczęście nie widzieliśmy ruin – zabroniono nam tam przebywać. I o ile wtedy byliśmy wściekle z tego powodu, teraz, każda z nas wie, że zrobiono to by nas chronić. Po latach, Applebloom wymogła na swym bracie, by nam opowiedział co się stało. To co usłyszeliśmy, długi czas nie dawało nam spokoju. Ponyville było kompletnie zniszczone, spalone domy, resztki ogromnego okrętu wbite w bibliotekę. Wiatr co i raz przynosił smród palonego mięsa.

Big Mac nigdy nie mówił dużo. Wtedy jednak po raz pierwszy nie mógł skończyć. W milczeniu słuchaliśmy jego długiej opowieści. Biedak, po latach wreszcie wyrzucił to z siebie. Na koniec usłyszeliśmy tylko jedno krótkie: Przepraszam.

Big Mac zaprowadził Babkę Smith na wzgórze, z którego mogli zobaczyć Ponyville. Starowinka na widok tego, co zostało z miasteczka położyła się i... zasnęła. Tak po prostu. Umarła wraz z miastem, które było jej dzieckiem. Chwilę po tym na wzgórze dotarła Applejack wraz z przyjaciółkami i księżniczką Celestią. Siostra Applebloom spojrzała na wydającą się spać babkę i... wiedziała dokładnie co się stało. Ucisnęła ostatni raz staruszkę, mocząc jej grzywę swymi łzami. Zaraz też zabrała się do kopania. Starym zwyczajem rodziny Apple było chowanie zmarłych w miejscu, w którym ci kończyli swe życie. I robiono to własnymi kopytami. Żadnych narzędzi. Big Mac ruszył by pomóc. Zaraz zanim poszły zebrane tam kucyki jednak zostały zatrzymane przez Applejack. Tradycja nakazywała, by grób kopały tylko członkowie rodziny. Reszta w milczeniu obserwowała całe zdarzenie. Nikt podobno nie wypowiedział nawet słowa. Słychać było tylko cichy płacz...

Zaraz przybyła też i księżniczka Luna. Niemal wszystkich zabrała do miasteczka. Na wzgórzu zostali tylko Big Mac i Celestia. Nawet na tle tamtych wydarzeń, trudno uwierzyć w to, co tam zaszło.

“Odnaleźć Siebie” pióra Sweetie Belle

Fluttershy biegła przez las. Gałęzie boleśnie smagały ją w pyszczek i boki, jednak nie mogła sobie pozwolić na zwolnienie. Biegła na północ, ku siedzibom Diamentowych Psów. Działo się tam coś potwornego.

W jednej chwili leciała rydwanem. W drugiej, znalazła się pośród ciemnego lasu. Głos, który od dłuższego czasu jej towarzyszył, nakazał jej biec na północ. Na pytanie o powód usłyszała trzy słowa...

Rycerz Życia, Zagłada.

Derpy po raz kolejny odczytała nazwy kart. Za każdym razem te dwie znajdowały się na samym środku, przesłaniając inne. Westchnęła. Obrazek na karcie kogoś jej przypominał. Już spotkała tego kucyka. Czyżby to był?

Ciało bezgłośnie uderzyło o ziemię. Zakłęcie wygłuszające, które rzucił sprawiło się doskonale. Nikt nic nie usłyszał. Nie mógł. Jednorożec uśmiechnął się. Ten był ostatni. W krótkim czasie wybił wszystkich wartowników. Zresztą co to byli za strażnicy – spojrzał na trupa. Ofiara nie miała nawet piętnastu lat. Co jak na Psy klasyfikowało go jako dziecko. To już jednak nie ważne. Wiek nie grał roli, płeć też nie. Sprawiedliwość nie patrzy na takie rzeczy. W końcu

jak powiadają, jest ślepa. Podszedł do skraju lasu. Na obszernej polanie stało mnóstwo obskurnych trójkątnych namiotów. Wszystko chaotycznie poustawiane, bez żadnego przemyślenia. W centralnej części dojrzał wbite w ziemię długie drzewce z symbolami klanowymi. Z nich wszystkich wyróżniał się jeden. Poznawał go. Znak Wojny. To dzięki niemu udało się zebrać w jedno miejsce wszystkie klany i ich wojowników. Psów nigdy nie było dużo, a klany od dawna mieszkaly razem. Nędzne resztki dumnej kiedyś rasy. W obozie nie zostało więcej niż dwieście Psów. Z czego żaden nie nadawał się do walki. Wojownicy upojeni zwycięstwem i alkoholem legli tak jak siedzieli. Można było po ich skakać, a żaden z nich nawet by tego nie zauważył. Shining kontynuował obserwację obozu. Żadnego ruchu.

Magiczne miecze zniknęły. Shining Armor usiadł i skupił się. To, co chciał zrobić nie było łatwe. Teleportacja zawsze sprawiała mu straszne problemy.

Błysnęło i ogień zniknął.

Pojawił się na samym środku obozu. Grymas wysiłku zagościł na jego twarzy. Zaraz po tym zastąpił go obłąkany uśmiech. Udało się. Otoczył obóz tarczą. Teraz nikt stąd nie ucieknie.

Sprawiedliwość. Tym jednym słowem opisał swój czyn. Zagładę rasy, jaką właśnie rozpoczął.

Ponownie przywołane ostrza przecinały powietrze zagłębiając się w kolejne ciała. Jednocześnie Shining podpalał kolejne namioty by wzbudzić panikę. W normalnym starciu nie miałby żadnych szans. Niemal dwieście Psów na jego jednego. Mogłoby być ich i nawet tysiąc. Zasady pacyfikacji opracowane przez Lunę działały doskonale. Tłum mimo pozornego chaosu robił niemal dokładnie to, co przewidywała w swych teoriach Luna. Zaskoczeni we śnie, zamiast rzucić się na jednego ledwo przeciwnika i rozerwać go na strzępy, uciekali tratując się nawzajem i szukając schronienia w lesie. Ofiary rzuciły się rozpaczliwie na barierę w nadziei, że uda im się ją przebić. Nic z tego. Dopadał do każdej grupki i w kilka sekund zostawiał za sobą tylko stygnące trupy. Wycie mordowanych mieszało się z szaleńczym rechotem Armora. Celował w serce. Zawsze. Matki, dzieci, starcy, ginęli tą samą błyskawiczną śmiercią. Oto prawdziwa sprawiedliwość! Każdy tak samo, każdy po równo.

Paniczne krzyki mordowanych stawały się coraz cichsze, aż wreszcie zanikły. Shining Armor ponownie obszedł obóz. Upewniał się, że nikt nie ocaleje.

Wreszcie stanął na środkowym placu. Spojrzał na swe dzieło. I był z tego dumny. Stało się. Karzące kopyto dosięgło wszystkich. I wymierzyło odpowiednią karę. Sterty zwłok i dopalające się szczątki namiotów. Tak. Zaiste było to sprawiedliwe.

To dla ciebie moja najdroższa.

– Spójrz – krzyknął. – To wszystko dla ciebie, Cadance!

Shining usiadł i opuścił głowę. Otaczająca obóz bariera znikła. Dumę zastąpiło uczucie pustki. Co dalej? Sprawiedliwość została wymierzona. Co mam zrobić teraz? Lewitujące ostrza skierował ku sobie. Za chwilę się zobaczymy, ukochana.

– To nie koniec – usłyszał delikatny głos.

Ogier poderwał się na kopyta. Miecze zmieniły pozycję i pomknęły, niczym dwie błyskawice w kierunku celu.

Oba zostały odbite. Shining Armor ponowił atak. I tym razem jego przeciwnik z łatwością blokował uderzenia. Ogier wytrzeszczył oczy. Zbliżała się do niego...

Fluttershy z łatwością parowała kolejne ataki Armora. Długie, niemal półtorametrowe, pozbawione jelca, magiczne ostrze wyglądało absurdalnie przy niewielkim pegazie. Pozbawiony ozdób oręż zdawał się jednak być wszędzie. Prosty chwyt jarzył się blaskiem. Fluttershy nie trzymała całego miecza w swej magii. Podobnie jak przy konwencjonalnej broni, złapała tylko za chwyt.

Fluttershy skoczyła do przodu. Z łatwością odbiła ostrza Armora i grzmotnęła go płazem po pysku. Chwilę potem przystawiła mu sztych do gardła. Shining nie zatrzymał się jednak. Ostrza zawróciły i ze świstem skierowały ku kłaczy. Rozległ się odgłos tłuczonego szkła. Dwukrotnie. Armor wpatrywał się osłupiały w pegaza. Obok Fluttershy lewitowały dwa identyczne ostrza, jak to, które swym sztychem stykało się niemal z jego gardłem. Potężnymi uderzeniami skruszyła jego oręż. Był kompletnie bezbronny.

– Zrób to – wysyczał.

– To nie koniec, Rycerzu Życia – odpowiedziała żółta kłacz – Za śmierć Cadance odpowiada ktoś inny.

– To one ją zabiły. Widziałem ich trupy w mieście. To one nas zaatakowały! To one! To było słuszne! Wymierzyłem sprawiedliwość. Wymierzyłem słuszną karę! – krzyczał Armor. – Spójrz! – wskazał kopytem obóz. – Zostali osądzeni i sprawiedliwie ukarani! Sprawiedliwie! Słyszysz?!

– To Sombra wydał im ten rozkaz. Musiały go posłuchać – odpowiedziała żółta pegaz. – To jego powinność osądzić. Nadchodzi wojna. Sombra opowie się po jednej ze stron. Nie ma innego wyjścia. Spotkacie się w polu. Czy jako wrogowie, czy jako sojusznicy, nie będzie to miało znaczenia. Sprawiedliwość o to nie dba. Ja wracam. Celestia i Luna są w Ponyville. Zauważyły już pewnie, że mnie nie ma. Wrócisz sam, a ja dołączę do was chwilę później. To co

tutaj zaszło pozostanie pomiędzy nami. Możesz też zostać i odebrać sobie życie jak to miałeś w planach. Na to nic nie poradzę. To tylko i wyłącznie twoja decyzja. Do zobaczenia w Ponyville.

Ostrza zniknęły. Żółta pegaz wzbiła się w powietrze i odleciała zostawiając ogiera samego.

Śmierć kończył właśnie kolejny kufel cydru. Tym razem pił na koszt właścicieli "Pod sześcioma Słońcami". Wprawdzie do niedawna, lokal szczylił się tylko pięcioma, jednak dziś zawitało tam szóste. Wszystkie Pradawne Elementy zebrały się razem. Z tego też powodu, klienci pili dziś za darmo. Oczywiście nie to, żeby Śmierć płacił kiedykolwiek za cydr. A zalegał już kwotę porównywalną do budżetu niejednego imperium. Nie mógł sobie jednakże odmówić darmowego trunku i tak oto na jego stoliku stało już jakieś dwanaście kufli. Humor od razu się poprawił. Spojrzał na drugi koniec sali. W rogu knajpki przy dużym stole siedziała szóstka właścicieli. Na pierwszy rzut oka niczym nie różnili się od innych mieszkańców. W rzeczywistości, były to jedne z najpotężniejszych istot jakie zawitały do królestwa śmierci. Same Pradawne Elementy Harmonii. Teraz jednakże z ich potęgi nie zostało niemal nic. A pomiędzy nimi, na honorowym miejscu siedziała Zecora. Dawno nie widział ich tak uradowanych. No może poza tamtym dniem, gdy uregulował drobną część swego długu. Zebra prawdopodobnie opowiadała reszcie, co przeżyła przez te wszystkie tysiąclecia. Śmierć westchnął. To będzie długa historia. I do tego wierszem.

Nie wyczuł tego od razu, ale w końcu musiał zwrócić swą uwagę. Tak potężnych gości w jego świecie nie sposób było pominąć. Tylko nie poznawał zupełnie charakteru tej siły. O ile towarzyszące śmierci cierpienie i smutek potrafił zidentyfikować, tutaj zostało to zagłuszone przez zupełnie inną siłę.

Zeskoczył z krzesła i zniknął w błysku światła, tuż przed tym gdy Aria, Pradawny Element Śmiechu, korzystając z krótkiej przerwy w opowieści, dotarła do jego stolika potężny zwój będący rachunkiem za cydr. Niebieska klacz tupnęła z udawanym gniewem i wybuchnęła śmiechem. Zaraz po tym przestała, gdy zdała sobie sprawę, że teraz musi go odnieść z powrotem.

Otworzyła oczy. Zaraz potem poderwała się na kopyta. Dotknęła swego brzucha. Żadnej rany. Obejrzała się. Dla pewności rozłożyła skrzydła i zamachała nimi kilka razy.

– To... niemożliwe – wyszeptała do siebie. Czuła aż nazbyt wyraźnie jak zostaje ich pozbawiona. I to co zrobili jej z brzuchem... Wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

Zaczęła rozglądać się po okolicy. Skalne pustkowia na którym się znalazła w niewytłumaczalny sposób ją uspokajało. Echa niedawnego bólu i cierpienia odchodziły w dal. Po swojej lewej stronie zauważyła skalny łuk. Jedyne urozmaicenie w monotonnym terenie. Cadance spojrzała w niebo. Zatoczyła głową pełen okrąg jednak nie znalazła tego, co chciała. Mimo dnia, i braku jakiegokolwiek chmury, na niebie nie widać było słońca. Nie przypominała sobie żadnego miejsca o takim wyglądzie. Całymi godzinami krążyła po okolicy szukając jakichkolwiek śladów mogących doprowadzić ją do innych kucyków.

Odeskoczyła, gdy błysnęło jej przed oczami. Momentalnie postawiła wokół siebie barierę.

Śmierć pojawił się wraz z błyskiem światła.

– O piórwaaa... – wyrwało mu się. Przed nim stał, otoczony ledwie widoczną barierą, alicorn. Sporo wyższa od niego piękność. Aż westchnął. Długie, smukłe nogi, piękna pierś, cudna linia, piękny kolor. I wypełnione bezgranicznym smutkiem oczy.

– Nie podchodź! – usłyszał. Gdyby mógł, zakochałby się w tym głosie.

– Nie musisz się mnie bać – odpowiedział Śmierć. – Choć nie byłoby źle, gdybyś jednak czuła na mój widok nieco strachu. Jestem władcą tej krainy. A ty w tej chwili nie żyjesz.

– Łatwo, to ty mnie nie zabijesz. Nieważne kim jesteś. – warknęła Cadance. Przed barierą uformowała swoje ostrze.

– Nie, nie, nie, nie, nie – kucyk dodatkowo zamachał kopytami. – Źle mnie moja piękność zrozumiała.

– Piękność? – zawahała się Cadance. Jak każda klacz lubiła komplementy. Szczególnie, że uważała siebie za pokrakę. Marzyła o figurze Celestii. Albo choćby i o tej jaką miała Luna. Nawet Twilight w jej mniemaniu wyglądała lepiej jako alicorn. A tymczasem sama miała wymiary "czegoś" bliżej nieokreślonego. Długie nogi, cieniutka talia i smukły mały zad. Na początek nieźle. Ale jak to w przypadku klaczy bywa; zad uważała za zbyt mały, talię za cienką, przez co wyglądała jak niedożywiona. Całości dopełniała dziwaczna szyja i malutka głowa z nieproporcjonalnie ogromnymi oczami. Jakim sposobem zostało tam jeszcze miejsce dla mózgu, tego nie wiedziała.

– A tak. Piękność. Problem? – na mordce kucyka wykwił dziwny uśmiech. – Wprawdzie nie potrafię odczuwać tak jak wy, ale nie jestem ślepy na piękno. Ale do rzeczy. Jestem władcą tej – zatoczył kopytem pełen okrąg – krainy. I nie musisz się mnie bać. Choć po prawdzie to powinnaś.

– Co? – Cadance nie bardzo ogarnęła. Mina jaka zastygła na jej mordce wyrażała wszystko. Zdziwienie, niemalże szok, połączony z kompletnym załamaniem.

– Słuchaj uważnie, nie będę dwa razy powtarzał. Jak wspominałem jesteś martwa. – Cadance drgnęła. Tarcza zamigotała wyraźnie. – A teraz jesteś w moim królestwie. Stoi przed tobą sama śmierć.

– Akurat... – odparowała Cadance. W jej głosie nie było już jednak takiej pewności. – Udowodnij mi to.

– Proszę bardzo. To ja tutaj rządzę i każdy kucyk, który wejdzie jest w mojej władzy. Wprawdzie jesteś już martwa, więc zabić cię nie można, ale za to...

Krótką, ustawioną na sztorc kosa z łatwością skruszyła tarczę i zagłębiła się w ciele Cadance. Alicorn spojrzała na wystający z niej oręż.

– Nawet nie boli, prawda? I nadal stoisz. A przecież właśnie przebiłem ci serce. – Śmierć wyjął kosę, wymamrotał zaklęcie i po ranie nie został nawet ślad.

Do Cadance dopiero teraz dotarło co się stało. Jednak zamiast, jak to zwyczajowo było, rozplakać się, Cadance się... uśmiechnęła. Smutek w oczach zastąpiony został radością. Śmierć kolejny raz ogarnęło to niesamowite, dziwne uczucie. Siła jaką promieniował alicorn zdawała się przytłaczać nawet jego. Coś dziwnego rozlewało się wewnątrz jego ciała. Coś... ciepłego. Czytał o tym. Słyszał niestworzone historie. To jest ta cała... miłość?

Otrząsnął się. Jego róg zaświecił się i skalny łuk błysnął.

– Oto brama do prawdziwego Królestwa Śmierci. Świat po drugiej stronie niewiele różni się od tego, w jakim żyłaś dotychczas. Kiedy będziesz gotowa, przejdź przez tę bramę. I pytaj o lokal "Pod Sześcioma Słońcami". Tam będę na ciebie czekał. To nie będzie...

Różowy alicorn śmignął mu przed oczami i z impetem wleciał w bramę

– ... łatwe. – Dokończył Śmierć. I zaraz popędził za Cadance do swego królestwa.

Wypadł prosto na jej zad.

– Nieco koścista, ale i tak piękna – wymamrotał. Alicorn odwróciła się do niego. Była nieco zdezorientowana. Brama otworzyła się w przestronnej jasnej sali.

– On tu jest, prawda? Mój ukochany Shining Armor czeka na mnie! – Nie sposób było odmówić radości w głosie Cadance.

– Kto taki? A zresztą, poczekaj. Jeżeli tu jest, to mam to w papierach. Shining Armor powiadasz? – Cadance skinęła głową. – Choć za mną, to nieco potrwa. Ostatnio mamy dosyć spory ruch. Wyobrażasz sobie? Niemal wszystkie Changelingi postanowiły umrzeć w jednej chwili. – Nawet nie zauważył błysku w oczach i lekkiego uśmiešku na jej twarzy. – Mamy masę pracy z nimi wszystkimi.

Cadance podążyła za swym przewodnikiem. Wyszli na zewnątrz. Natychmiast dobiegł ich gwar ulicy. Cadance nie mogła wyjść z podziwu. Ten świat był tak bardzo żywy. I tak pogodny. Wszędzie tyle uśmiechniętych kucy, zebra, gryfów. Każdy, kogo mijali idąc szeroką ulicą uważnie się w nich wpatrywał. Były to spojrzenia pełne ciekawości.

– Patrzą na ciebie. – Powiedział towarzyszący jej kucyk. – Jeszcze nigdy nie widzieli kuczka twojego rodzaju. Mnie tutaj wszyscy ignorują. I dobrze. Mam trochę długów do spłacenia.

Cadance spojrzała w stronę rozłożonego straganu z jabłkami. Sprzedawca zamachał do niej przyjaźnie i lewitacją posłał w jej stronę dorodny owoc. Cadance skinęła głową na znak podziękowania i wgrzyzła się w czerwoną kulę, która wkrótce w całości zniknęła w jej żołądku. Nieco później dostała kwiaty. Każdy ją pozdrowiał. Każdy chciał zamienić kilka słów. Cadance nie odmawiała nikomu i podróż się bardzo wydłużyła. Wreszcie wyszli na obszerny plac. Zawahała się widząc kilka Changelingów idących w jej kierunku. Jeden z nich niósł na grzbiecie podłużny pakunek.

– Oni też tu są? – zapytała wyraźnie agresywnym tonem.

– Owszem. A wszystkie urazy zostają w tamtym świecie. Tutaj nie ma miejsca na nienawiść i wojny. Chodź – pociągnął ją za sobą. – Najwyższy czas to zakończyć.

– Nie masz pojęcia, co mi zrobiły – odparowała Cadance.

– Nie masz pojęcia, czemu to zrobiły. Co jesteś w stanie zrobić w obliczu śmierci moja droga? Co zrobiłaś zanim umarłaś?

Grupka Changelingów zatrzymała się przed różowym alicornem. Pokłoniły się nisko.

– Więc to prawda. Pani Miłości przybyła do tego świata. Mam nadzieję, że śmierć była lekka.

– Jak śmiesz – warknęła Cadance zanim Śmierć zdążył zareagować. – To wy mnie pozbawiliście życia. Mnie i mojego ukochanego.

– Przykro mi to słyszeć – odpowiedział Podmieniec. – Wiemy, ile krzywd zdążyliśmy Waszej Wysokości wyrządzić w tamtym świecie. Domyślamy się co może Wasza Wysokość

czuć. Jednak jako tymczasowy regent Martwego Roju proszę, by Wasza Wysokość zechciała nas wysłuchać.

– Mów – odparła Cadance.

Changelingi ponownie się pokłoniły.

– To dzięki Waszej Wysokości, Rój mógł egzystować. Ten... – Changeling zawahał się – teatrzyk zwany inwazją podczas Waszej Wysokości wesela zadecydował o naszym przeżyciu. A my zebraliśmy dość miłości, by móc spokojnie żyć latami. Proszę zwrócić uwagę, że nikt nie zginął podczas tamtego ataku. Wprawdzie Elementy Harmonii zadały wielu z nas sporo ran podczas walki, jednak to bardziej przypominało zwykłą bójkę, niż wojnę. Z tego co wiemy, późniejsze wesele udało się wyśmienicie. A Wasza Wysokość nawet nie podejrzewa jak dużo z nas było na nim obecnych. Znany jest prawdopodobnie Wam Fancypants. To jeden z wielu Podmieńców, którzy służą wiernie Celestii.

Cadance przypomniła sobie fragmenty wesela. Pamiętała życzenia jakie dostała od Fancypantsa. Zdziwiła się bardzo, kiedy ten szanowany jednorożec przeprosił za wszystkie wydarzenia związane z Changelingami. Podobne słowa usłyszała od kilku innych kucyków.

– A już obudzenie Kryształowego Królestwa było dla nas czymś niesłychanym. W jednej chwili, Wasza Wysokość zapewniła Rojowi przyszłość. Aż do teraz. Ja jestem Rojem i Rój jest mną. Wiem dlaczego Wasza Wysokość nie żyje. Nasza Matka nigdy by tego nie zrobiła. Zbyt cenna dla nas Wasza Wysokość była. Niedługo przed tym wydarzeniem, Rój przejął Sombra. – Cadance poczuła jak wzbiera w niej wściekłość. – Wiedząc że bez Waszej Wysokości możemy nie przetrwać, nie chcąc też służyć Sombrze ani cierpieć katuszy śmierci głodowej, nakazaliśmy Matce nas uśmiercić, a gdy ta odmówiła sami to zrobiliśmy. Zaatakowaliśmy armie Czarnego Jednorożca. Wie Wasza Wysokość, w jakich bogów wierzą Changelingi? Mamy tylko jedną boginię. A ja właśnie stoję przed nią. Władasz miłością, jesteś Pani więc naszym życiem i śmiercią. Żywą boginią, w którą wierzyliśmy od tysiąca lat.

Changeling przerwał na moment. Zdjął pakunek z grzbietu i go rozwinął.

– W tym świecie nie ma nienawiści i wojen, dlatego też traktujemy to jako symbol. Niemniej, nalegam by Wasza Wysokość przyjęła ten miecz.

Changeling podniósł oręż. Długi, sierpowaty miecz, podobny do tych, jakie używały gryfy. Ostrze oksydowane na czarno. Tej samej barwy był też chwyt. Cadance widząc u Podmieńca problemy ze staniem na dwóch tylnych nogach, złapała broń swą lewitacją. Czar... odskoczył od ostrza i zniknął. Zakłęcie pozostało jedynie na chwycie. Niepewnie uniosła oręż. Broń ważyła swoje i Cadance musiała się bardziej skupić by utrzymać przedmiot w jednej pozycji. Stanowczo bardziej wolała swoje ostrze. Było lżejsze i mogła je chwycić całe. Zamachała czarnym mieczem kilka razy. Grupa Podmieńców pokłoniła się do samej ziemi.

– Jako tymczasowy regent proszę, aby Wasza Wysokość przyjęła naszą propozycję i została Królową Martwego Roju.

Na wzgórzu zostały tylko dwa kucyki. Oba w milczeniu patrzyły na panoramę spalonego Ponyville. Gwardziści, kończący znoszenie i układanie zwłok mieszkańców byli widoczni niczym pracujące mrówki. Co i raz chmury dymu przesłaniały im widok. Pegazów w obecnych oddziałach gwardii było stanowczo za mało, by na bieżąco usuwać całość dymu. Dlatego też oczyszczanie powietrza trwało tak wolno.

Pierwsza odezwała się Celestia.

– Zawiodłam Macintosh. Na całej linii. To nie miało prawa mieć miejsca. Po raz kolejny udowodniłam, że nie nadaję się na władczynię. Wiesz, kto leciał tym okrętem? Ani jak się nazywał?

– NNie – czerwony ogier odpowiedział w swoim zwyczajowym stylu.

– To miała być duma naszej floty powietrznej. To OPE Cadenza. A na jej pokładzie była, mój drogi, nasza duma, Mi Amore Cadenza.

Ogier spojrzał na księżniczkę. Celestia musiała odwrócić swój wzrok. Skierowała głowę w stronę miasteczka.

– Tak, mój drogi. Po raz kolejny sprowadziłam na ciebie tragedię. Począwszy od tego, w jakich okolicznościach poczęliśmy Cadance, przez całe życie, po dzisiejszy dzień. Twoje... nasze dziecko leży tam – wskazała na Ponyville. – Zabite w okrutny sposób. I to... – głos księżniczki załamał się. – ...moja wina. Celestia ponownie rozplakała się.

Big Macintosh podszedł do księżniczki. Wielkie kopyto ogiera przeszło powietrze. Celestia upadła na ziemię. Big Mac natychmiast do niej doskoczył. Celestia wtuliła głowę między swe kopyta gotowa na kolejne uderzenia. Te jednak nie nastąpiły. Macintosh nachylił się do jej twarzy.

– NNie – padło jedno krótkie słowo.

Po minie ogiera wdać było, że walczy ze sobą. Po chwili, z wyraźnym trudem zaczął wypowiadać kolejne słowa.

– NNie jesteś winna. I nigdy nie waż się nazywać tragedią tego, co zrobiliśmy. Nigdy! – Ogier ledwo nad sobą panował. – Ja nigdy nie żałowałem tamtych chwil. Taak. My, Apple znamy swoje miejsce. Wiedziałem, że nigdy nie będę mógł być przy niej. I że ona nigdy nie pozna

prawdy o swym pochodzeniu. Ale patrzyłem. Taak. I to wystarczało. Musiało mi wystarczyć. Wychowałaś moją córkę na wielką księżniczkę. Potężnego alicorna, Panią Miłości, czegoś, czego nigdy nie mogłem jej dać. Taak. Ale zawsze, kiedy ją obserwowałem jakoś dziwnie na mnie patrzyła. Jakby... taak... jakby to wszystko czuła. Jakby wiedziała. Widziałem jak była szczęśliwa, radosna i roześmiana. I to mi wystarczało. Taak. W zupełności.

Ogier pomógł wstać księżniczce. Następnie oboje objęli się najczulszym uściskiem.

– Powiem wszystko. Ujawnię prawdę o nas. – zaczęła Celestia. – Nie możesz dłużej ukrywać się w cieniu.

– Nie – padło krótkie słowo. – Nie teraz.

Celestia spojrzała na czerwonego kucyka.

– Później... – usłyszała w odpowiedzi.

– Możemy nie dożyć tego całego później. To – wskazała na Ponyville. – Początek wojny jakiej ten świat nie widział tysiące lat. Może nie być drugiej szansy. Big Mac, ja również nigdy nie żałowałam tego, co zrobiliśmy. Dałeś mi dziecko, o jakim marzyłam ponad dwa tysiące lat. Żałuję tego, w jaki sposób musiałam cię potraktować. To jest ten błąd. Formalnie powinienś być księciem i być blisko...

– Nie – wtrącił się ogier.

Celestia spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

– Nie – powtórzył krótko Big Mac.

– Zanim udam się do miasteczka mam do ciebie jeszcze dwa pytania. Czy chcesz ją teraz zobaczyć?

– Nie – Big Mac wymówił to ledwo słyszalnym szeptem. Nie miał siły na nic więcej. Całe ciało i umysł krzyczały „Tak” w jego głowie.

Celestia wypowiedziała więc drugie pytanie.

– Czy mi wybaczysz za to wszystko, jak cię traktowałam?

Big Mac podniósł głowę i spojrzał Celestii w oczy. Księżniczka usłyszała tylko krótkie:

– Nie.

Pani Dnia spuściła głowę. Mimo iż spodziewała się takiej odpowiedzi. Big Mac natychmiast nachylił się do jej ucha i wyszeptał.

– Nie można wybaczyć czegoś, za co nie trzeba wybaczać. Taak. – Zakończył w typowym dla siebie stylu.

Celestia podniosła głowę. Przez łyzy przebiegał się niezbyt wyraźny uśmiech. Księżniczka rozpostarła skrzydła.

– Spotkamy się... później. Wtedy odpłacę ci te wszystkie lata. I nie będziemy się więcej ukrywać. Apple zajmą nowe miejsce w historii Equestrii.

Księżniczka zniknęła w błysku światła. Niemal w tej samej chwili, identyczny błysk dało się zaobserwować w miasteczku. Big Mac spojrzał na Ponyville. Gdzieś tam leżało ciało jego dziecka. Westchnął. Stracił dziś dwie bliskie sobie osoby. Opadł ciężko na ziemię. Łzy popłynęły mu z oczu. I płakał długo.

Discord siedział, opatrując swoje rany. Wokół niego krążyła Chrysalis. Wydeptała już w trawie całkiem konkretny ślad. Oboje znajdowali się na bliżej niezidentyfikowanej polanie w środku lasu. Wściekłość, której dała upust wyżywając się na Discordzie ustąpiła już. Królowa gorączkowo myślała nad tym, co ma zrobić dalej. Wrócić nie miała już do czego. Sombry nie pokona. Z Celestią też ma niewielkie szanse. Gdyby Cadance żyła, z jej pomocą prawdopodobnie pozbyli by się Czarnego Jednorożca. Wystarczyłoby, jak to ujął Discord, poprosić. Wtedy pół Equestrii ruszyłoby z odsieczą biednym Podmieńcom. Kucyki momentalnie zapomniłyby o strachu i nienawiści jakie dotychczas w odczuwały w stosunku do jej dzieci. Zapomniał tylko o jednym. Królowa nie prosi, królowa rozkazuje. I dostaje to, co się jej należy. Tak było przez długi czas, dlaczego więc teraz miałoby być inaczej? Chrysalis walczyła sama ze sobą. Z jednej strony stała jej pozycja Królowej Roju. Z drugiej... Rój nie istniał, gdyż nie potrafiła powiedzieć jednego słowa.

– Proszę...– wymamrotała do siebie.

– O jak ładnie. Szybko się uczysz. – odpadł Discord. – Szkoda tylko że nie nauczyłaś się tego magicznego słówka kilka lat temu. – Draconequus pojawił się przed stojącą na sztaludze tablicą. W rękach trzymał drewniany wskaźnik. – Warto też, byś poznała jeszcze jedno: przepraszam. Powtarzamy: Przeeee... praaaa... szaaam.

– Spieer... daaa.... laaj – odparowała Chrysalis. Doskoczyła do Discorda i grzmotnęła go kopytem przez łeb. – Zamiast się wydurniać, lepiej powiedz, co mogę zrobić.

– Właśnie ci powiedziałem – odparł Discord. – Przeprosić. Pójdiesz i przeprosisz się z Celestią.

– Żeby to było takie łatwe – warknęła królowa. – Niby co mam powiedzieć. – Zrobiła minę niewiniątka i nadało swojemu głosowi słodziutką barwę. – Cześć Siostrzyczka. Wiesz, mój Rój właśnie popełnił zbiorowe samobójstwo i nie mam się gdzie podziać. Masz jakiś wolny pokoik dla mnie i dla twojego odwiecznego wroga jakim jest Discord. I troszkę miłości? Plosę. – Chrysalis zrobiła minę proszącego kotka. – I przepraszam. No wiesz, za tamto. Zgoda? – mordka królowej przybrała najśłodszy wyraz, na jaki w tej chwili stać było Chrysalis.

Discord złapał się za serce, wydał z siebie serię dziwnych odgłosów i padł nieprzytomny. Po chwili lewa łapa się uniosła i pokazał tabliczkę z liczbą osiem.

– Całkiem nieźle, jednak do Fluttershy ci wiele brakuje. – Discord westchnął na wspomnienie swej jedynej prawdziwej przyjaciółki. Nie widzieli się ładnych kilka lat. – I jakbyś nie wiedziała, od pewnego czasu nie jestem wrogiem Celestii. Zresztą nigdy nim na poważnie nie byłem.

– Wiem, wiem. – odpowiedziała Chrysalis. – Ty zawsze się bawisz. Wszędzie i wszystkimi. Zresztą, jaką mam pewność że i mnie nie wykorzystasz w ten sposób.

– Z Celestią nie da się już w to bawić. Zmądrzała po tych wszystkich latach. Uwierzysz, że sama mnie wypuściła z kamiennego więzienia? I jestem jej za to wdzięczny. Spotkałem dzięki temu pewną istotę, którą jako jedyną mogłem nazwać swoim przyjacielem. Draconequui nie znali przyjaźni. Nie wiedzieli, że coś takiego może w ogóle istnieć. Niestety, wszystko co dobre ma swój koniec. Nieznana wam choroba sprawi że w przeciągu roku umrę. Dlatego też pozwoliłem się powtórnie zamienić w kamień, gdzie mogłem czekać bezpiecznie kolejne tysiące lat. Oczywiście, póki Celestia i Luna nie wynajdą lekarstwa. Niesamowite przedstawienie. Obie musiały po raz kolejny rzucić na mnie klątwę. Mnóstwo płaczu, pożegnań i czternaście powtórek zanim udało im się mnie zamknąć w kamieniu. Klątwy to wyjątkowo wredny odłam magii. Mój nowy posąg stanął w ogrodach w Canterlot. Co tydzień Fluttershy przychodziła do mnie porozmawiać. Zawsze miała dla mnie dobre słówko. Szkoda tylko że nie mogłem jej odpowiedzieć. Muszę ją odwiedzić jak tylko znajdę odrobinę czasu. A największym paradoksem tej sytuacji jest to iż widząc się co tydzień, nie widzieliśmy się kilka lat. – Discord wyciągnął białą chustkę z wyhaftowanymi różowymi motylkami i otarł nią spływającą mu po pysku łzę. – Aż mi się stare czasy przypomniały. Szkoda że strzeliłaś wtedy focha i nie wzięłaś udziału w tamtej wojnie.

– Nic by to nie zmieniło. Oprócz tego, że szybciej byś dostał łomot. – odpowiedziała Chrysalis. – Załóżmy, że się zgodzę i pójdę do Celestii. Sądzisz że przyjmie mnie i wysłucha? Po tym co moje dzieci zrobiły z Ponyville? W końcu to jeden z moich magów zabił Cadenzę.

– A o to się nie martw. Discord już coś wymyśli. Zresztą mamy na to kilka dni, zanim Celestia upora się z pogrzebem i zjawi się przy tamtej – wskazał kopytem masywny, samotny szczyt – górze. Tam się z nią spotkamy. Rytuał, jaki odprawi, osłabi ją na tyle, że nie będzie miała wyjścia nas wysłuchać. A najprawdopodobniej zrobi to z wdzięczności.

– Czeką nas więc kilka dni kompletnej nudy – westchnęła Chrysalis.

– Nudy? W żadnym wypadku! – stanowczo odpowiedział Discord. – Mam dla ciebie opowieść. Usiądź i posłuchaj o bitwie o Rozdarcie. Największym starciu w historii tego świata.

Od Autora:

Po wielu trudach i niemal rocznej przerwie, nowy rozdział ujrzał wreszcie światło dzienne. Cóż mogę Wam rzec. Na początek wielkie przepraszam za tak długi czas oczekiwania. Wiele rzeczy złożyło się na taki stan rzeczy. I postaram się aby kolejny rozdział został napisany szybciej. O wiele szybciej. Na koniec dziękuję wszystkim to czytającym za cierpliwość w czekaniu na kolejny epizod.